

Wśród ludu partyzanckiego ustalił się podział na dwie kategorie

PARTYZANTA: partyzant „elitarny” i partyzant „szmaciarz”. Inaczej mówiąc: wojskowy w przeciwieństwie do bandyty lub gwałtownika, który w wielu wypadkach przestawał być wojskowym. Każdy oddział rozpoczynający działalność miał przed sobą wielką niewiadomą. Już od pierwszych akcji partyzanckich występował wyraźny podział na tych co szli do roboty w sposób niezawodny, przygotowani psychicznie, zdyscyplinowani z całą wiedzą planów, czynności i zwycięstwa, czyli udania się akcji, i podział na tych co bagatelizowali przygotowanie, liczyli na siłę i brutalność i szczęście i nieskrępowanie zasadami postępowania. Czyli następował podział na tych, którzy nauczyli się być partyzantem/ niezawodnym - zawodnym / i podział na tych, którzy chodź oznaczali się odwagą, byli partyzantami amatorami, czyli partyzantami, którzy zawadzili i zwani byli w języku partyzanckim „szmaciarzami”, do których trudno było się przyznać.

Przykład w Porębie Wielkiej...:

Oddziały różniły się pod względem składu personalnego jak i metody pracy.

Aleksander Marczyński: Poręba Orkanowska w latach okupacji s.19 /załącznik do str 10 I 2/ podaje wydarzenie według którego obok oddziałów partyzanckich odpowiedzialność za bandytyzm ponosiły oddziały bandyckie, które starały się /akcję bandycką zrzucić na regularne oddziały partyzanckie/. Istniała zasadnicza różnica w celowości danej akcji i w bestialstwie wykonania. W oddziale regularnym partyzanckim obowiązywała duża cześć i szacunek do życia ludzkiego. Tak pod względem ochrony tego ŻYCIA u swoich członków oddziału partyzanckiego, jak i wrogów, gdy walka nie nakazywała zabijania samowolnego. Następny przykład cytuje Aleksander Marczyński:

Lekarz Dr Jan Hozer w Porębie Wielkiej „Znachor”, wysiedlony z tak zwanego Reichu, przekazywał lekarstwa i opatrunki zarówno oddziałowi porucznika „Lecha”, jak i oddziałowi porucznika „Adama”. Wiosną 1944r. władze niemieckie Mszany Dolnej przystąpiły do oficerów, z pochodzenia austriackich, na stanowisko kierownika tartaku w Porębie Wielkiej. Był to dobry i wyrozumiały człowiek, wykazujący wiele współczucia zatrudnionym w tartaku Polakom. Pewnego dnia Austriak przywiózł z Kreishauptmaschafu /Starostwa/ w Nowym Sączu uzyskane dzięki własnym staraniom przydziały dla robotników polskich: obuwie, odzież, konserwy. Wszystkie te przedmioty zmagazynował w swoim mieszkaniu w Niedźwiedziu. Tej samej nocy urządzili na niego napad ludzie mieniący się „partyzantami”; zagrabiając przywiezione materiały oraz zabijając kierownika tartaku. Nazajutrz Gestapo zjechało do Niedźwiedzia dla dokonania represji na niewinnej ludności, bowiem rabusie zbiegli w góry. Dr „Znachor” natychmiast rozpoczął interwencję tłumacząc /władzę biegle językiem niemieckim/, że rabunku i zabójstwa dokonali pospolici bandyci a nie miejscowa ludność. Argumenty dr Jana Hozera „Znachor” przekonały widać szefa ekspedycji, gdyż po kilkugodzinnych przesłuchaniach Niemcy odjechali do Nowego Sącza. W ten sposób wieś uniknęła represji i pacyfikacji. Każdy oddział musiał omawiać i analizować dokonaną akcję i przez tę analizę dochodził do własnej selekcji pod względem składu personalnego jak i metody pracy i walki.

Oddział „Adama” przeszedł taką selekcję i widzimy w nim szereg zmian. Początkowo dwóch przyjaciół „Adam” i „Lech” chodzą po lesie sami. Następnie się rozdzielają i każdy tworzy osobną grupkę partyzancką. Są to „Mszycy” i „Wilki”. Później oba oddziały się łączą pod kryptonimem „Wilki”. Następnie „Adam” przekazuje całego „Wilka” por. Krystynowi Więckowskiemu „Zawiszy” - , i na nowo zaczyna tworzyć nowy oddział partyzancki „Mszycy”. Te kryptonimy są w archiwach Inspektoratu, natomiast dla ludności jest to dalszy ciąg oddziału „Adama”. Co się okazało? Oddział „Adama” był nie tylko oddziałem partyzanckim, ale był takim oddziałem, gdzie każdorazowo prowadzona była nauka postępowania partyzanta w ściśle określonych warunkach i według założonego planu. Ludzie u „Adama” zawsze byli elementem świeżym. Ale nie tylko to, „Adam” dobierał, czy wybierał element myślenia. Na skutek tego postawa każdego z nich była inna /ale odpowiedzialna/. Mówili tak: „Nie jesteśmy na to żeby ginąć, ale na to żeby robić robotę”. Zatem nie byli to ludzie którzy by zrobili robotę automatycznie. Mieli rozum i inteligencję i musieli widzieć i nabrać przekonania, że w chwili gdy wychodzą na robotę, mają co najmniej 70% szansy do zrobienia tej roboty. Inaczej taki partyzant mógł powiedzieć, że dowódca nie jest na poziomie. Innym słowem każda robota, musiała być przemyślana i przeszkolona i wdrożona, czyli udana w ćwiczeniu i udana w wykonaniu. Dlatego oddział ciągle był w pracy partyzanckiej i z tej pracy nie wychodził - pracy szkolenia i wdrażania. Dzięki temu oddział „Adama” na przestrzeni wszystkich akcji miał tylko dwóch zabitych. W tym dwóch żołnierzy a stało się to na skutek niezastosowania nakazanej praktyki partyzanckiej np. na skutek posuwania się środkiem korytarza, a nie przy ścianie, albo na skutek niezabezpieczenia na zakręcie drogi w czasie takiej roboty partyzanckiej, która odbywała się w środkowym odcinku drogi prostej. W obu przypadkach nic nie pomogła ani odwaga ani zapal. W pierwszym wypadku Walczak z Olszówki dwudziestoletni chłopak dostał postrzał w brzuch w czasie zdobywania magazynu niemieckiego w Zarytym. W drugim - bardzo zdolny i niezrównany „Kominiarz” z Rabki zginął po rozbrojeniu auta niemieckiego /u Marków nad Rabą/ z ręki nadjeżdżającego patrolu niemieckiego od strony Mszany Dolnej. Specjalnie pracowano nad wyrobieniem bystrości spojrzenia na rzeczywistość ale również nad wyrobieniem wycucia i odczucia zamiarów przeciwnika. Były to długie ćwiczenia i dążyły do wyrobienia niejako szóstego czy nawet siódmego zmysłu, co często nazywano językiem potocznym: „On ma szczęście”. Dowódca który miał „szczęście” był bardzo szanowany i

uwielbiany przez swych podkomendnych. Do takich należał "Adam", a właściwość tego dowódcy polegała na tym, że wstawiał się zawsze w psychologię przeciwnika to znaczy jakby on sam wykonał dany manewr, gdyby był na miejscu przeciwnika i miał zwalczyć swój własny oddział. Dzięki temu nigdy też nie wpadł w żadną zasadzkę niemiecką i w TAKIEJ właśnie chwili odwracał nagle kierunek drogi do przebycia i ku ogólnemu zdumieniu atakował później założoną na niego zasadzkę. Był podejrzewany przez swych podkomendnych, że jest obdarzony pewnego rodzaju telepatią, wycuciem zwierzęcym sygnalizującym grożące niebezpieczeństwo. A to niebezpieczeństwo częstokrotnie czyhało albo w samym obozie partyzanckim albo na przebywanej drodze nie zawsze w czasie akcji. Między partyzantami utarło się powiedzenie, że z dwóch szczerych i bliskich przyjaciół, jeden tj. Władysław Szczypka Stawny „Lech”, dowódca Obwodu Limanowskiego i założyciel oddziału partyzanckiego pod kryptonimem "Wilk" miał zawsze „pecha” z którego dotąd wychodził cało - aż padł trupem we własnym obozie partyzanckim. O czym zaraz opowiem.

Drugi, tj. Jan Stachura, stawny „Adam” wyczuwał nosem grożące niebezpieczeństwo tak dla swojego szefa „Lecha”, dla siebie i oddziału, że wzbudzał nie tylko podziw i zadowolenie ale i pewnego rodzaju wyższość komendanta, ale również i zazdrość innych dowódców, a w pewnej chwili i i samego „Lecha”. Doszło nawet do tego, że „Adama” poddawano pod pewnego rodzaju kontrolę przełożonych, z czym „Adam” się nie zawsze, godził, - i jak mówi archiwista Inspektoratu "słusznie" nie chciał być stale „zastępca dowódcy oddziału”. Zażądał w pewnym momencie stopnia „głównego dowódcy oddziału” na własnego oddziału „na nowo” zorganizowanego. Kim był „Adam” jako dowódca partyzantów, świadczy wypadek, w którym odegrał rolę, wyjątkową już po demobilizacji oddziału w roku 1945 na Luboniu a administracyjnie w Limanowej. „Adam” czuł, że ta demobilizacja jest manewrem bo aresztowania zaczęły się mnożyć i ludzie aresztowani przez NKWD zaczęli znikać. Wobec tego nie pokazywał się w życiu publicznym żeby za bardzo nie wystawiać się na widok publiczny. Ale kiedy do rodziny „Adama” przyszło zapewnienie dowódców partyzantki sowieckiej, że nic mu nikt nie zrobi, wtedy przyszło zaproszenie na rozmowę do władz rosyjskich. „Adam” utrzymywał bardzo przyjazne stosunki z dowódcami Petrem, Aloszą i Zolotarem „Iwanem” partyzantki sowieckiej i wielokrotnie pomagali sobie wzajemnie w trudnościach w walce z Niemcami. Licząc na tę przyjaźń z partyzantami sowieckimi zdecydował się przyjąć zaproszenie.

Co się okazało? Jako zdemobilizowany dowódca partyzantów AK dostał propozycję współpracy dla Rosji Sowieckiej, jako wypróbowany żołnierz i oficer. „Adam” wówczas odpowiedział, że jest związany przysięgą żołnierską w wojsku polskim i że samodzielnie tej propozycji przejść nie może. Natychmiast został aresztowany przez NKWD, odbyto nad nim Sąd po którym mu dano do wybór albo współpraca dla Rosji Sowieckiej, albo kara najwyższa, to znaczy 14 lat zesłania do obozu na Syberii. „Adam” się nie cofnął. Wówczas umieszczono go w więzieniu po gestapowskim w Wadowicach i zamknięto go razem z szesnastoma więźniami, takimi jak on i był tam również jeden marynarz. To wszystko odbyło się niedługo przed Bożym Narodzeniem w 1945 roku. Jako doświadczony partyzant, obdarzony tym bystrym i przenikliwym spojrzeniem na rzeczywistość, „Adam” z miejsca zabrał się do rozeznania sytuacji topograficznej więzienia, od piwnic, do podwórza, z murami najeżonymi kolcami, wszystkich pięter i osobnego specjalnego budynku zamienionego na kaplicę czy kościół pozostający w opuszczeniu- opracował i opanował pamięciowo wszystkie możliwe przejścia z ilością kroków i czasu, znalazł równie jakąś drabinę. Zbadał również konstrukcję drzwi elektrycznych, które się zamykały i otwierały automatycznie stwierdził, że te drzwi można rozszrubować w ostatnim momencie, przy odpowiednich narzędziach. W sprawie narzędzi porozumiał się ze swoją rodziną i żoną, bo tuż ku końcowi wojny ożenił się z Kazimierą Sobieską i ona po ucieczce z obozu koncentracyjnego żyła w Mszanie Dolnej. Ślubu im udzielił przy otarzu partyzanckim kapelan partyzantów „Adama”, ksiądz Józef Kochan wikary z Rabki, ten sam który po wojnie był jednym z księży Polskiej Misji Katolickiej w Belgii. Otóż „Adam” w ostatniej chwili to znaczy tuż przed wybraną datą ucieczki z więzienia, ujawnił swój plan współtowarzyszom celi. Wszyscy szesnastu z celi opowiedzieli się za ucieczką. Jeden marynarz opowiedział się za pozostaniem w celi. Wyznaczono ucieczkę na dzień Święta Bożego Narodzenia. Bo Rosjanom zwieziono duże ilości alkoholu i jedzenia. Gdy wieczorem cała straż więzienia była pijana i nie zdolna do bystrych i szybkich- refleksji, wtedy „Adam” przy pomocy zdolnych mechaników odkręcili i rozkręcili drzwi celi, wszystkich wyprowadził nie od razu na podwórze, bo trzeba było przechodzić koło wartowni wjazdowej do więzienia, ale najpierw wyprowadził na ostatnie piętro skąd dostali się na strych, na tym strychu znaleźli drabinę, która im się przydała do zejścia na chór kaplicy przez otwór w suficie oraz zabrali ze sobą ze strychu materac, który był konieczny do założenia na mury podwórca zabezpieczone kolcami przed więźniami, na wypadek próby ucieczki. Z kaplicy znajdujące się na uboczu podwórca udało im się przejść do suterenu czy piwnicy, skąd przez odpowiednie okienko wyważone wszyscy wyszli po ciemku gęsiego na podwórze, skąd wzdłuż ścian doszli do muru więziennego. Po drabinie i przerzuceniu materaca na kolce sterczące na szczycie muru, więźniowie przeskoczyli przez mur na ulicę i dalej we mgle zniknęli w ciemnościach nocy. W czasie ucieczki z dali słychać było pijackie śpiewy oficerów i żołnierzy NKWD. Na następny dzień urządzono w Wadowicach poszukiwanie za zbiegłymi więźniami, których ostatecznie nie odnaleziono. O losach pozostałego w celi marynarza nic nie wiadomo. „Adam” doszedł do rodziny, która otrzymała dwa miejsca i dokumenty francuskie w ostatnim transporcie byłych

jeńców wojennych z armii francuskiej, przebywających na terytorium Polski, - transporcie organizowanym przez konsulat francuski. Tym transportem przejechali Czechi i dostali się do strony okupacyjnej alianckiej, stąd przedostali się do Dywizji Pancerniej Maczka, w której służył brat „Adama” Władysław Stachura.

(10) Był to ostatni transport, który nie wpadł w ręce NKWD. Następne już wpadały. Oczywiście można powiedzieć że „Adam” był człowiekiem, który miał „szczęście”. Przede wszystkim nigdy nie tracił głowy. Miał chłopski rozsądek i rzeczywistość układała mu w myśli nie jako jakąś fantazja i przypuszczenia, ale zawsze z biegiem wydarzeń możliwych i najbardziej prawdopodobnych. Wybierał najbardziej prawdopodobne i układał w panoramę rzeczywistości, która się w kilka chwil później sprawdzała. I tu trzeba powiedzieć, że od początku tak nie było. Samo wyszkolenie, które przeszedł w Konspiracji na pewno nie było wystarczające i musiało być sprawdzone przez praktykę. Wybieram dwa wypadki i dwa różne rozwiązania, które miały miejsce w początkowym okresie organizacji i szkolenia się stopniowo. Zaznaczam że dotyczyło to nie tylko samych oddziałów partyzanckich, ale także i wyższych władz, jakimi był Inspektorat to znaczy najwyższa władza terenowa, grupująca kilka Obwodów i w tej mierze stanowiąca razem z innymi inspektoratami, Okręg Wojewódzki. Otóż Inspektorat nowosądecki przechodził swoje własne doświadczenie, a to w miarę wymagań stawianych mu przez podkomendne oddziały partyzanckie. Gromadził on również doświadczenia wszystkich oddziałów i z tymi doświadczeniami zapoznawać wszystkich swoich podkomendnych .

Jakież były pierwsze dwa wypadki, odbyte z rodowitymi Mszaniakami. Jak „Adam” mówił nie miał szczęścia do ludzi pochodzących z tej samej co on miejscowości. Chodzi o Mszanę Dolną. Pierwszy wypadek miał ze Stefanem Feryńskim. Kto to był taki? Bardzo dzielny góral o niestychanej sile i odwadze. Chodził początkowo na słuchanie radia na mieszkania Daszkiewiczów. Daszkiewiczze to byli wówczas lewicowi kniaziowie litewscy osiedleni w Mszanie. Pisali się Korybut-Daszewicze. W tym początkowym okresie nie mieszkali w Mszanie Dolnej i dom ich był wolny, bo mieszkanie, które zajmował jeszcze przed wojną, major Franciszek Galica, stało pustkami. Otóż tam się spontanicznie organizowało słuchanie radia tajnego: należeli do tego: